Realizm i magia. Rozmowa o literaturze iberoamerykańskiej.

Florian Śmieja w Starych Siołkowicach – miejscu urodzenia matki, fot. arch. F. Śmiei.

Beata Tarnowska:

Jest pan nie tylko poetą, tłumaczem, ale również byłym profesorem iberystyki na *University of Western Ontario* w Kanadzie oraz z racji wykonywanego zawodu znawcą literatury hispanojęzycznej. Czy podróżując po Ameryce Łacińskiej miał pan okazję poznać pisarzy tego kręgu kulturowego?

Florian Śmieja:

Poznałem Mario Vargasa Llosę, Alejo Carpentiera, Jorge`a Luisa Borgesa…

Czy zetknął się pan z Gabrielem Garcią Marquezem?

Niestety, nie. Natomiast poleciałem do Cartageny w Kolumbii, gdzie dwudziestoletni Marquez otrzymał przed laty pracę dziennikarza i reportera. Byłem w redakcji dziennika „El Universal", w którym pracował. Znalazłem się więc w miejscu, z którego autor „Stu lat samotności" czerpał inspirację do swojej twórczości – był bowiem zbieraczem i rekonstruktorem faktów. Jak sam powiadał, właśnie to zbieractwo, fantazja i umiejętność przekształcania autentycznych wydarzeń spowodowały ogromne bogactwo jego dzieła. Niezwyczajny czar kryje się w geograficznych nazwach kolumbijskiego wybrzeża: Cartagena, Barranquilla, Aracataca, Riohacha… Podobnie jak Homer czy Dante, Marquez właściwie nie precyzuje, nie dopowiada do końca, gdzie się urodził. Ale zarazem mógł chyba tylko tam się urodzić, na swojej „ziemi świętej"… Może jest to część mistyfikacji, którą niektórzy uważają za niezbędny element kreowania własnej sylwetki?

Które z powieści z kręgu prozy iberoamerykańskiej szczególnie Pan ceni? Czy mogą one – Pańskim zdaniem – dorównać „Biblii realizmu magicznego" czyli „Stu latom samotności" Marqueza?

Nie wiem, czy przypomnę sobie dokładne nazwy polskich przekładów… Kalina Wojciechowska przetłumaczyła utwór Alejo

Carpentiera „Podróż do źródeł czasu”. Uważam, że to jest znakomita powieść. Tam pokazana jest próba cofania się. Byłem w Wenezueli i trochę przyglądałem się krajobrazowi. Jest to, oczywiście, ogromny kraj, ale wystarczy na przykład znaleźć się w Caracas, pojechać jeszcze sto kilkadziesiąt kilometrów do jakiejś miejscowości i wejść do wiecznie zielonego lasu, aby mieć pewne pojęcie o przyrodzie, o ziemi, która rozpościera się dalej na południe, i przechodzi w sawanny, tzw. *llano*, czyli równiny, przez które płynie rzeka. Tą rzeką trzeba wstępować w górę i cofać się w czasie… Obok Carpentiera należy koniecznie wymienić Argentyńczyka Ernesto Sabato…

… autora powieści „Bohaterach i grobach”.

Bardzo popularna jest też jego krótka powieść „Tunel”. Potem Julio Cortazar…

W latach 70. i 80. eksperymentalna „Gra w klasy” Cortazara była w Polsce niemal kultową powieścią ówczesnego pokolenia. Podobnie zresztą jak proza realizmu magicznego, ukazująca świat poprzez pryzmat prekolumbijskich wierzeń. „Zachłyśnięcie się” tą literaturą, będące w pewnej mierze rodzajem antidotum na szarą rzeczywistość ówczesnej epoki, jest już chyba sprawą przeszłości. Późniejsze pokolenie młodych czytelników wolało czytać Williama Whartona.

Cóż robić? Szkoda, bo była to jednak inna, wielka literatura, świadcząca o tym, że Ameryka Południowa dojrzała, doszła w powieści do szczytów artyzmu. Powinniśmy wymienić tu jeszcze Carlosa Fuentesa; kilka jego powieści kwalifikowałoby się do tego kanonu.

I oczywiście, jeszcze jest Juan Rulfo, autor jednej właściwie powieści „Pedro Paramo", zaliczanej do arcydzieł literatury światowej. W Polsce – mimo znakomitych przekładów – prawie nieobecny.

Bardzo dobrze znam okolice, w których urodził się Juan Rulfo i które stanowią tło jego powieści. Jest to Colima nad Pacyfikiem, jeden ze stanów Meksyku. Podróżowałem tam wiele razy. Autobusami, które jeżdżą szesnaście godzin, bez wody, w tłumie ludzi – męczyłem się, bo chciałem koniecznie napisać o *cristeros****[1]***. Wielokrotnie rozmawiałem z ich byłymi przywódcami, wtedy już wiekowymi. Rulfo także wspomina te oddziały, częściowo ze względu na swojego ojca, który zginął w czasie rewolucji. Wydarzenia z tamtego okresu do dzisiejszego dnia stanowią w historii Meksyku sporny i wstydliwy problem dla obu stron, i dla państwa, i dla kościoła. Hierarchia kościelna ugięła się bowiem, paktowała… A wojna była niezwykle krwawa. Posiadam fotografię, na której rządowi żołnierze trzymają odrąbane głowy *cristeros*… Niestety, nie pozwolono mi o tym pisać. Temat był ideologiczny, a wtedy, w latach

siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wszystkim rządziła lewica, i każdy nie-lewicowy temat „ubijano” nawet w Kanadzie, gdzie zamieszkiwało sporo Meksykanów. Żeby więc jakoś usatysfakcjonować swoje plany, których nie mogłem zrealizować, przetłumaczyłem powieść meksykańskiego pisarza Jesusa Goytortua „Zadumana”, z 1945 roku. Jest to tzw. powieść popularna, z wyeksponowanym wątkiem romansowym, obfitująca w niezwykłe wydarzenia i niespodziewane zwroty akcji. Czyta się ją znakomicie, ale co najistotniejsze – przedstawione w niej zostało tło wojen religijnych przełomu lat dwudziestych w Meksyku.

Czy podczas swoich podróży po Meksyku spotkał Pan Juana Rulfo?

Chodziłem śladami Rulfo. Mój znajomy poeta i tłumacz, Jan Zych, mieszkający w stolicy Meksyku, wskazał mi kawiarnię, w której Rulfo często bywał. Chodziłem do tej kawiarni, ale niestety, nigdy nie udało mi się tego pisarza spotkać. Zmarł w 1986 roku.

W powieściach realizmu magicznego fascynująca jest dla nas przede wszystkim odmienność kulturowa, na którą składają się m.in. ukryte pod powierzchnią chrystianizmu – elementy prekolumbijskich wierzeń. Takie na przykład, jak wiara, że śmierć stanowi przedłużenie życia, a grzechy są wędrującymi bytami… Czy zetknął się Pan z przejawami

minionych kultur?

Meksyk jest ogromnym krajem i w jego oddalonych zakątkach utrzymują się jeszcze prekolumbijskie wierzenia. Ale z pewnością nie w pobliżu wielkich miast, jak Meksyk czy Guadalajara. Można jednak podać przykłady społeczności indiańskich, które nie znają języka hiszpańskiego, bo żadne wpływy kulturowe do nich nie dotarły. Indianie ci żyją w takim odosobnieniu, że nie ma żadnych dróg, którymi można by do nich dotrzeć; jedyną możliwością pozostaje lot helikopterem. Niedawno odkryto na Jukatanie piramidy, o których nikt nie słyszał, które nieznane były nawet Hiszpanom. Dżungla wszystko przykryła, i potomkowie Kolumba nigdy nie postawili tam stopy… Odwiedziłem kościół San Juan w miejscowości Chamula w prowincji Chiapas, tuż przy granicy z Gwatemalą (ten sam Chiapas, w którym wybuchło powstanie Indian). Jest to kościół „niby-katolicki", albowiem przechowuje jeszcze wiele pogańskich zwyczajów. Zamordowano w nim turystę, który wszedłszy do środka, natrząsał się z zachowania tubylców. Przychodzili oni do tego kościoła całymi rodzinami, posypywali „świętą trawą" podłogę, na której siadali, jedli obiady, dawali jedzenie duchom, pili, palili świece – słowem, urządzali „dziady". Takich „niby-katolickich" świątyń jest oczywiście w Meksyku więcej; a jednocześnie Kościół nie walczy z pozostałościami dawnych religii, uważając zapewne, że lepsze „coś" niż nic… To właśnie byłby przykład – znanego mi z autopsji – „extremum", ale już na

granicy świata rozumianego przez nas, chrześcijańskiego.

Marquez w jednym z wywiadów przekonywał, że wszystko, co zawarł w „Stu latach samotności" zakorzenione jest w realnej rzeczywistości: deszcz żółtych kwiatów, duchy zmarłych błądzące po domu, wniebowstąpienie pięknej Remedios…

Powiedzieć, że pewnego dnia dziewczyna zaginęła, by później pojawić się w miasteczku, gdzie jest bufetową albo gorzej – niedobrze brzmi. Natomiast obraz dziewczyny unoszącej się w powietrze, w łopocie prześcieradeł – jest niewątpliwie piękny. Marquez napisał kiedyś, że do ósmego roku życia wiódł bardzo bujną egzystencję – tyle rzeczy mu się wydarzyło… A potem? Już mało. I co tu jest prawdą, a co jest mistyfikacją? Co dorzucili inni?

W jednym z wywiadów opowiadał też, jak po śmierci pułkownika Buendii, bohatera swej najważniejszej powieści, zamknął się w pokoju i przez dwie godziny płakał… Granica pomiędzy realnością i fikcją staje się więc płynna, umowna…

Kiedyś z Polski pozdrowiłem e-mailem sekretarkę dziekana w Ontario słowami „czekamy na wiosnę, wnet przylecą bociany". Odpowiedź brzmiała: „a bocian to jest ptak miejski, czy wiejski, i

skąd on ma przylecieć?” Okazuje się, że to, co dla nas jest codziennością, dla innych stanowi egzotykę. Jeśli jakiś pisarz wykorzystałby na przykład obraz przylatujących bocianów w powieści, i powieść tę przeczytaliby, powiedzmy, Eskimosi, mogliby zakrzyknąć: „ależ to jest realizm magiczny, nie z tej ziemi!” Ameryka Południowa posiada jeszcze nie tylko obszary dziewicze, nietknięte ludzką stopą, ale i zjawiska, które w literaturze mogłyby z łatwością przeistoczyć się w elementy „rzeczywistości cudownej”. Na przykład motyle, które wracają do Meksyku całymi chmarami (między innymi, z Kanady). Zdarzają się chmury motyli tak wielkie, że potrafią zaćmić słońce. W pewnym momencie staje się ciemno, bo przelatują motyle. Natomiast kiedy w Kanadzie przelatują kaczki, Amerykanie przez trzy dni mają perturbacje samolotowe: wszystkie radary szumią, ponieważ miliony kaczek leci. Nie trzeba zatem wiele, aby podobne zdarzenia przekształcić w literaturze w coś bardzo cudownego, a jednocześnie rzeczywistego.

Jak Pan ocenia te książki Marqueza, które pojawiły się po „Stu latach samotności”? Światowym bestsellerem była „Miłość w czasach zarazy”.

Moja miłość pozostała przy „Stu latach samotności”. Później Marquez zbierał to, co nie weszło do tej powieści. Na samym początku pisarskiej kariery posiadał wielki zwój papieru, rulon fantastycznej prozy, z której wyłoniły się aż trzy osobne powieści.

Cięcie mogło nastąpić w dowolnym miejscu. Jemu było jednak żal tego, co odpadło. A skoro wątek erotyczny zawsze ludzi interesuje…

„Kronika zapowiedzianej śmierci", która powstała po „Stu latach samotności" (chociaż oparta była na faktach, dużo wcześniejszych) jest również niezwykłym opowiadaniem…

Jestem przyzwyczajony do tego rodzaju pesymistycznej, ciemnej atmosfery, istnieją bowiem precedensy w literaturze hiszpańskiej. Na przykład ostatni Noblista hiszpański Camilo Jose Cela, a przedtem Pio Baroja, który pisał podobnie pesymistyczne, ciemne i trudne książki, i w jakimś sensie był uważany za mistrza, i przez Hemigway'a z jednej strony, i przez Celę z drugiej. Sam umarł ubogo, szaro… Za życia powiadał: „jestem zbyt biedny, żeby nie pisać; muszę z czegoś żyć, więc piszę. Gdybym miał pieniądze, to bym nie pisał". A poza tym to wszystko powraca do nurtu realistycznego, pikarejskiego, który w tradycji literatury hiszpańskiej jest bardzo mocno zakorzeniony. Natomiast ludzie spoza tego kręgu kulturowego odczuwają to niezwykle dobitnie. Mówiąc o Celi, użyłem słowa „turpizm"; Hiszpanie mają słowo „tremendismo" od przymiotnika „tremendo" (straszliwy, upiorny, niesłychany). Najdziwniejsze może było to, że ten prąd powstał po wojnie domowej, kiedy ludzie w Hiszpanii zaczęli się już nieco bogacić. Jak zasiadali wieczorem do kolacji (a jada się tam kolację, jakieś dwie godziny

przed północną), wówczas radio nadawało kolejne odcinki mrożących krew w żyłach powieści Celi. Żeby „burżujów” trochę podrażnić…

Nie odbierałabym jednak powieści Marqueza – mimo fatum ciążącego niezmiennie nad ich powieściowym światem – jako mrocznych i pesymistycznych. Proza Juana Rulfo jest z pewnością o wiele bardziej mroczna, bo jest pozbawiona tego elementu humoru, czy „ironii magicznej”, który cechuje styl autora „Stu lat samotności”. To świat jakby wstrząsany deszczem, straszliwy i niespokojny…

Sądzę, że to wynika z osobowości tego pisarza. Marquez natomiast bawi się literaturą.

…a osobowość Juana Rulfo ukształtowało cierpienie, jakiego doznał w dzieciństwie: utrata obojga rodziców, bieda…

Poza tym w Meksyku śmierć wydaje się wszechobecna, „łatwo dostępna”, wszędzie widziana. Przecież kiedy Meksykanie celebrują dziady, to dosłownie wszyscy idą na cmentarz, siedzą tam, piją. Z drugiej strony, istnieje tak charakterystyczne dla kultury tego kraju – prześmiewanie się ze śmierci, łagodzące, być może, jej okrucieństwo. Wystarczy spojrzeć na cukierki, w kształcie czaszki czy kościotrupa.

Właśnie. Natomiast dla autora „Miłości w czasach zarazy” – „to nie śmierć, ale właśnie życie nie ma granic”… Czy nurt realizmu magicznego uznaje się za bezpowrotnie wyczerpany?

Nie można przesadzać w niczym. Literatura Ameryki Łacińskiej jest inna, i dlatego zafascynowała nas swoją innością. Natomiast podawanie tych samych rzeczy po raz drugi i trzeci, przez „małych mistrzów”, trąci trochę uzusem.

Realizm, aby mógł pozostać realizmem, odzwierciedlającym rzeczywistość, nie może przecież wpisywać się w istniejące już od dawna konwencje. W trakcie naszej rozmowy wspomniał Pan o swoim przekładzie meksykańskiej powieści „Zadumana”. Tłumaczył Pan, obok wielu innych powieści oraz sztuk, także utwory poetów hiszpańskich i arabskich. Na uwagę zasługuje szczególnie dzieło hiszpańskiego Noblisty Juana Ramona Jimeneza „Srebroń i ja”. Wydaje mi się, że ten poeta, podobnie jak Rulfo, pozostaje w Polsce nie doceniony.

Juan Ramon Jimenez był znakomitym poetą, lirykiem. Trudności z przełożeniem jego utworów są ogromne i to one skazują go na niedostateczną popularność poza granicami języka hiszpańskiego. Za to jego urocza proza poetycka „Srebroń i ja”

podbiła cały świat i fascynuje prawdziwych miłośników literatury.

Jakie są Pańskie plany przekładowe?

Powinniśmy byli, jak sądzę, wspomnieć także o moim przekładzie ważniej powieści meksykańskiej „Los de abajo”, którą wydało Wydawnictwo Literackie pod tytułem „Gniew”. Jest to prototyp tzw. powieści rewolucyjnej, gatunku prozy o niesłabnącej żywotności, gdyż można do niego zaliczyć także powieść Carlosa Fuentesa „Śmierć Artemia Cruz”. Mariano Azuela w 1915 roku wydał jej pierwowzór wplatając do jej wątku osobiste wspomnienia, gdyż służył jako lekarz pod jednym z watażków w pierwszej fazie walk rewolucyjnych.

Aby zaznajomić się z topografią walk opisywanych w powieści, zjeździłem lokalnymi autobusami okolice San Jose de los Lagos, a stamtąd pojechałem do Zacatecas. W Wydawnictwie Wacława Bagińskiego we Wrocławiu wyszedł mój wybór legend i listów literackich hiszpańskiego pisarza i poety romantycznego Gustavo Adolfo Becquera w wersji dwujęzycznej. W planach jest przekład aforyzmów siedemnastowiecznego jezuity hiszpańskiego. Ale przyszłość jest zawsze bardziej lub mniej zakryta.

---

[1] *cristeros* – meksykańscy powstańcy katoliccy, głównie chłopi, walczący w latach 1926-1929 oraz 1934-1937 przeciw antyklerykalnym rządom liberałów w obronie wiary, praw i przywilejów kościoła katolickiego.

Wywiad pochodzi z książki: Beata Tarnowska, Wokół Kontynentów. Szkice i rozmowy z poetami, wyd. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, 2011 r., s. 186-194.